

Biegłem ile sił w nogach, z trudem przedzierając się przez śnieg zalegający pomiędzy pniami majestatycznych choinek i świerków. Ostre zimowe powietrze zatykało mi płuca, wywołując w klatce piersiowej piekący ból. Nagle do moich uszu dobiegł dźwięk stłumionego huku wystrzałów. Kilka wron obsiadających pobliskie drzewa poderwało się do chaotycznego lotu, podnosząc głośny rwetes i mącąc głuchą ciszę odzianego w zimową szatę lasu. Przywołując z pamięci obraz braci, brnąłem dalej, pokonując kolejne metry. Miałem wrażenie, że serce podchodzi mi coraz bardziej do gardła, jakby chciało wydostać się na zewnątrz i pobiec szybciej niż ja. Czułem w uszach jego pulsujące szaleńcze tempo, przypominające tętent cwałujących koni. Przed moimi oczami przewijały się obrazy z ostatnich kilkunastu miesięcy, niczym upiorne kształty wyłaniające się z mroku złowieszczej nocy.

W końcu, zapadając się w śniegu po kolana, straciłem równowagę i upadłem, lądując twarzą w miękkim białym puchu. Przez jeden ułamek sekundy zapragnąłem zanurzyć się w śnieżnej pierzynie i przestać walczyć. Po prostu odwrócić się na wznak i powitać śmierć z otwartymi ramionami. Rezygnacja nawoływała mnie, nęcąc perspektywą natychmiastowej ulgi. Jeden strzał i wszystko się skończy. Zasługiwałem przecież na to, żeby szlachetnie przegrać i wreszcie odpocząć. Byłem wart ukojenia, bezbrzeżnego błogostanu nicości. Jednak pomimo wszechogarniającej chęci pozostania w stanie odrętwienia, w okamgnieniu zerwałem się, bohatersko rozprawiając się z kuszącą propozycją udręczonego ciała i zmuszając je do kolejnego nadludzkiego wysiłku. W myślach powtarzałem sobie, że dam radę, nie przyjmując do wiadomości symptomów wysyłanych przez wycieńczony organizm.

Kończyny z sekundy na sekundę coraz bardziej odmawiały posłuszeństwa. Zwolniłem, ciężko dysząc. Bez względu na to, jak mocno starałem się zmobilizować, brakowało mi tchu i sił. Teraz wlokłem się krok za krokiem,

mając wrażenie, że śnię jeden z tych koszmarów, w których bezskutecznie próbuję przedzierać się przez coś przypominającego gęstą galaretę. Albo tych, w których bezgłośnie krzyczę, gorączkowo poruszając wargami, ale nikt nie jest w stanie mnie usłyszeć.

Ponownie runąłem na ziemię. Zagarnąłem zimny śnieg skostniałymi dłońmi i opierając się na nadgarstkach, dźwignąłem ciało nieco w górę. Wreszcie udało mi się podnieść na kolana. Sięgając w bok i przytrzymując się ściętego pnia, wstałem, dramatycznie chwiejąc się na wszystkie strony. Wyglądałem jak malutki wynędzniały statek miotany falami szalejącego żywiołu. Próbowałem oprzeć się nieuniknionemu. Dać odpór nieuchronnym postanowieniom losu.

Wtem usłyszałem za sobą skrzypienie śniegu. Ktoś był tuż za mną, depcząc mi po piętach. Zagryzłem spierzchnięte zakrwawione wargi i używając całej siły woli, jaka się we mnie jeszcze tliła, zacząłem szybciej przebierać nogami, myśląc o Sarze.

- Stój! – Chrapliwy głos rozdarł powietrze.

Zastygłem w bezruchu.

Więźniów obudziło przeraźliwe wycie obozowych syren.

- Co się dzieje? – Szmuel usiadł wyprostowany na górnej pryczy i przez moment wsłuchiwał się w przeciągły sygnał. – Josefie! Joelu! – Wychylił się, żeby zajrzeć na niższe piętra łóżka.

W baraku dla mężczyzn panowało zamieszanie. Do środka wpadło kilku SS-manów, drąc się wniebogłosy i każąc wszystkim natychmiast wychodzić na zewnątrz.

- Zbliża się front radziecki – oznajmił Joel. – Albo nas spalą, albo zdarzy się cud i pozwolą nam pójść do domu.

- Musimy znaleźć Sarę. – Josef, najstarszy spośród braci, zajmujący miejsce na samym dole, zaczął przerzucać słomę rozścieloną na deskach.

- Niby jak? – zapytał Szmuel.

- Gdy opuścimy obóz.

- Szybciej! – ryknął SS-man tuż nad głową Josefa, potracając go kolbą karabinu. Chłopak zdążył ukryć w dłoni malutki medalion na srebrnym łańcuszku.

Okolo ośmiuset mężczyzn, wygnanych z murowanego baraku, ustawiło się w rzędach. Między blokami paliły się ogniska. Niemcy w pośpiechu wrzucali w płomienie jakieś papiery. Najwyraźniej chcieli zatrzeć wszelkie ślady piekła, jakie zgotowali tysiącom ludzi.

- Chorzy na prawo! – zarządził przez megafon komendant.

Grupa SS-manów rozpierzchła się po szeregach w poszukiwaniu słabych i wycieńczonych jeńców. Szmuela sparaliżował obezwładniający strach z powodu siostry, która od kilku dni nie najlepiej się czuła. Patrząc na strażników wywlekających więźniów na środek placu, chwycił Josefa za łokieć.

- Wiem, braciszku, wiem – wymamrotał pod nosem wysoki skrajnie wychudzony chłopak. – Musimy wierzyć, że jej się uda – szepnął.

Okolo dziewiątej rano z obozu wyruszyły pierwsze kolumny więźniów. Każdy otrzymał na drogę bochenek chleba oraz konserwę.

- Cóż za szczodrość - bąknął pod nosem Joel, gapiąc się na skromny prowiant.

- Nie wierzę, że dadzą nam spokój - wymamrotał Josef. - Musimy prysnąć. Szmuel spojrzał na brata. Ufał mu i mógłby za nim skoczyć nawet w przepaść, ale każde zaufanie ma swoje granice.

- Nie uda nam się, bo... - oznajmił i urwał, dochodząc najwyraźniej do wniosku, że nie potrzebuje kończyć.

Nagle jego młody umysł pojął, że nie chodzi o to, czy ucieczka się powiedzie, chociaż minimalna nadzieja z pewnością się przyda. Chodzi o to, że wszystko będzie lepsze niż bierne oczekiwanie na przyszłość zgotowaną przez okrutny los.

Wyszli w milczeniu na trzaskający mróz bez dodatkowych okryć i ciepłych butów. Ludzie starali się okazywać sobie nawzajem wsparcie, biorąc słabszych do środka i pomagając im iść. Josef z Joelem przemierzali się na trasie pomiędzy maszerującymi w poszukiwaniu Sary. Musieli uważać, by nie zwrócić na siebie uwagi SS-manów, posyłających kulę w łeb za byle co.

Bracia początkowo sądzili, że po kilkunastu, góra kilkudziesięciu kilometrach, dotrą do jakiegoś transportu. Jednak szybko pojęli, że muszą pokonywać co najmniej dwadzieścia kilometrów dziennie w nieznanym celu.

W trakcie pierwszego postoju niemal nie zmrużyli oka. Zresztą ciężko było spać pod gołym niebem przy temperaturze dochodzącej do minus piętnastu stopni. Następnego ranka znaleźli siostrę i od tej chwili szli razem.

Ludzie padali jak muchy. Z głodu, zimna i wyczerpania. Więźniów próbujących ucieczki natychmiast rozstrzelano. Lemańscy obiecali sobie, że nie dadzą za wygraną i zrobią wszystko, aby przetrwać.

- Wymyśliłem plan – oświadczył w końcu Josef rodzeństwu, przyglądając się zamkniętym w medalionie wizerunkom rodziców.

- Jaki? – Joel nadstawił ucha.

- Czmychniemy do lasu – wyjaśnił najstarszy chłopak.

- Zabiją nas.

- Wolę zginąć, walcząc o godność, niż być baranem prowadzonym na rzeź – powiedział cierpko Josef.

- Nie dam rady biec – wtrąciła słabym głosem Sara, trzęsąc się z zimna.

- Mam jeszcze trochę chleba. Zjesz i wróci ci siła – zachęcił ją Joel, ale sam nie do końca w to wierzył.

Trzeciego dnia siostra Lemańskich zataczała się do tego stopnia, że chłopcy musieli ją ciągle podtrzymywać. Gadali do niej i śpiewali, byleby tylko powłóczyła nogami i nie upadła.

Postawny SS-man wypatrzył ją niczym sokół namierzający wzrokiem swoją ofiarę. Przedzierając się przez kilka rzędów więźniów, wycelował z karabinu.

- Nie! – Szmuel bohatercko zasłonił piersią przerażoną Sarę.

- Odsuń się! – warknął Niemiec, lustrując drobnego, lecz całkiem ruchliwego chłopaka.

Gdyby nie upatrywał w nim siły roboczej do morderczych prac w III Rzeszy, z pewnością nie zawahałby się przed pociągnięciem za spust.

- Odsuń się! – powtórzył, tracąc cierpliwość.

Szmuel usłyszał pochłapywanie siostry i poczuł szarpnięcie. Josef odciągnął go zdecydowanym ruchem do tyłu i przycisnął z całej siły do piersi. Kula trafiła dziewczynkę prosto w czoło, a jej ciało natychmiast bezwładnie osunęło się na ziemię. Najmłodszy brat rzucił się na kolana i obejmując twarz Sary, zaczął jęczeć.

- Wstawaj! – wrzasnął SS-man.

Chłopak ani drgnął.

- Powiedziałem: wstawaj! – ryknął ponownie mężczyzna, wymierzając mu kopniaka.

Szmuel poczuł palący ból w żebrach. Zakręciło mu się w głowie i miał wrażenie, że zaraz zemdleje. Mocne dłonie Josefa postawiły go z powrotem na nogi. Obejrzał się za siebie. Sara leżała na oblodzonej drodze w kałuży krwi. *Chodźcie, rozpatrzmy to razem - mówi Pan! Choćby wasze grzechy były jak szkarłat, mogą zbieleć jak śnieg; choćby czerwieniły się jak purpura, mogą stać się jak wełna.* [1] Szmuel zobaczył dom. Piękny dom

z dużymi oknami i bieluteńkimi firankami powiewającymi na delikatnym wietrze. Ich dom. I ojca siedzącego na drewnianym krześle, recytującego uroczystym tonem księgę Izajasza. Ujrzał też matkę krzątającą się przy piecu z tym znajomym ciepłym uśmiechem na ustach, znaczącym o wiele więcej niż tysiące słów. Uśmiechem, w którym mógł się schronić każdy domownik i każdy nieznajomy. Miał wrażenie, że poczuł dotyk jej dłoni, delikatny i zdecydowany zarazem.

W młodym chłopcu wezbrał potężny gniew. Zacisnął pięści, pragnąc rzucić się na SS-mana i udusić go gołymi rękoma. Wiedział jednak, że poddając się desperacji, niczego nie wskóra. Wtedy zaświtała mu myśl, że największym aktem zemsty będzie przetrwanie i życie pełną piersią. Myśl zniknęła równie szybko jak się pojawiła, ale dała mu wystarczająco dużo siły, żeby się nie poddać.

Tego samego dnia bracia ujrzeli majaczący w oddali las. Uszli jeszcze kawałek drogi, zanim Josef wybrał najlepszy jego zdaniem moment i cicho gwizdnął. Cała trójka ruszyła w obciążoną warstwą śniegu płataninę gałęzi i rozbiegła się w różnych kierunkach. Wraz z nimi od kolumny odłączyło się kilkunastu innych więźniów. Padły strzały, a ziemię zasłały pierwsze trupy.

– Stań przodem! – rozkazał szorstko głos.

Zacisnąłem powieki i powoli się odwróciłem. Skuliłem ramiona, czekając na niechybną śmierć. Zastanawiałem się, czy Niemiec uśmierci mnie jedną kulą w łeb, czy dla zabawy podziurawi ciało w kilku miejscach, żeby sprawić mi więcej cierpienia, a sobie więcej przyjemności.

Strzał nie padł, więc ostrożnie otworzyłem oczy. Przypominający porcelanową figurę SS-man celował do mnie z karabinu. Dzielili nas odległość około jednego metra. Niespodziewanie Niemiec opuścił broń i

rzucił ją na śnieg. Rozpinając płaszcz, zdarł go energicznie z ramion, następnie z całym impetem cisnął mi pod nogi.

- Weź! – warknął.

Pochyliłem się i podniosłem ubranie, nie spuszczać oczu z SS-mana. Mistyczna chwila wymiany spojrzeń z niewiele starszym chłopakiem pozostała ze mną już na zawsze.

- Wkładaj – odezwał się strażnik bardziej przyjaznym tonem, po czym pociągnął nosem.

Kompletnie zszokowany zarzuciłem okrycie na plecy i poczułem przyjemne ciepło.

- A teraz bierz nogi za pas! – Niemiec podniósł karabin i machnął kolbą, dając znak, abym uciekał.

Miałem wrażenie, że stopy wrosły mi w ziemię.

- Ogłuchłeś? – burknął mężczyzna, tupiąc nogami i rękoma rozcierając ramiona. – Wiej! I to już!

Wreszcie ruszyłem przed siebie, jakby w żyły wpompowano mi nowe pokłady adrenaliny. Początkowo nie dowierzałem w dobrą wolę wybawcy, spodziewając się strzału prosto w plecy. Kto wie, jaki pomysł mógł się kryć w zwyrodniałym umyśle SS-mana. Czegoś takiego można by było się po nim spodziewać. Z czasem coraz mocniej docierała do mnie świadomość, że gdyby chciał zabić, nie oddałby mi przecież własnego płaszcza. Biegłem więc dalej, słysząc tylko swój nierówny oddech.

Po kilkuset metrach schowałem się za grubym pniem, chcąc chwilę odpocząć. Skrajnie wycieńczony, oparłem dłoń o szorstką korę i przygarbiłem się. Wstrząsnęły mną głębokie skurcze, a ja skulony, położyłem dłonie na kolanach i próbowałem złapać oddech pomiędzy poszczególnymi atakami torsji. Pusty żołądek skręcał się niemiłosiernie, wyrzucając z siebie kwas mieszany w ustach ze śliną. Wreszcie męczarnia ustała a moje ramiona zaczęły drżeć w niekontrolowany sposób. Płakałem z

radości, smutku oraz potwornego napięcia, wypełniającego każdy skrawek duszy i ciała przez parę ostatnich lat. Wkrótce płacz zamienił się w szloch, a potem w zawodzenie i łkanie. Nie potrafiłem się opanować i w żaden sposób zatrzymać fali gwałtownych emocji, bezlitośnie szarpiących każdą komórką.

Z nieba bezszelestnie sypały drobniutkie płatki śniegu, ozdabiając огоloną głowę. Ostrożnie wychyliłem się zza drzewa. Po Niemcu nie było ani śladu, a wokół panowała głucha cisza. Schyliłem się i wepchnąłem do buzi garść śniegu. Odetchnąłem kilka razy, powoli nabierając powietrze nosem i wypuszczając je ustami.. Łudziłem się, że wydarzył się cud i do braci również uśmiechnęło się szczęście. Wyobrażałem sobie, że podobnie jak ja ukryli się nieopodal i za chwilę znów będziemy razem. Niemal czułem na swoich ramionach mocny uścisk Josefa i bardziej subtelne poklepywanie po plecach w wykonaniu Joela. Mimo, że serce ponaglało mnie, abym ich szukał, rozsądek kazał pozostać w miejscu i czekać. Nie wiem dokładnie, ile czasu spędziłem za drzewem, ale w momencie, kiedy podjąłem bolesną decyzję, że ruszam dalej, zapadał już zmrok. Robiło się coraz zimniej. Bez żadnego wyraźnego powodu wsunąłem rękę do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wymacałem jakiś przedmiot. Powoli wyjąłem dłoń, a moim oczom ukazał się niewielki zgrabny pistolet.

W Joanna's Market w Miami rozbrzmiewał przyjemny gwar. Część klientów czekała na podgrzanie kanapki, kupowała kawę, sałatki lub najróżniejszej maści muffinki. Inni zapuścili się w głąb kawiarni, przyglądając się wysokiej jakości produktom dostępnym w sklepie. Lemańscy dokładali wszelkich starań, żeby sprowadzane przez nich rarytasy zadowoliły nawet najbardziej wybredne podniebienia. Kilka osób stało w kolejce po świeże pieczywo wypiekane na miejscu, którego

intensywny zapach docierał do każdego zakątku pomieszczenia. Czekając, aż zostaną obsłużone, ucinały sobie przyjazne pogawędki na niezobowiązujące tematy. Od strony stolików przy witrynie dobiegał radosny zgiełk rozmów ludzi spożywających śniadanie. Jedni wpadali codziennie i jako stali bywalcy posiadali atrakcyjne zniżki. Drudzy wyglądali raczej na turystów, którzy odkryli to miejsce mniej lub bardziej przypadkowo. Zdarzali się również tacy, co wybrali Joanna's Market świadomie w wyniku czyjejs rekomendacji bądź zachęcającego opisu na jakimś portalu społecznościowym.

Rebeka zatrzymała się, łapczywie chłonąc panującą atmosferę. Dwa lata temu podjęła studia na kierunku inżynierii środowiskowej na Uniwersytecie w Miami, ale pojawiała się tu niemal każdego dnia i spędzała co najmniej kilka godzin.

- Będziesz tak sterczeć bez końca, czy zrobisz coś pożytecznego? – zagadał dziewczynę atletyczny rudy mężczyzna z obsługi, obdarzając ją przyjaznym uśmiechem.

- Nie bądź wredny – zrewanżowała mu się.

Widząc biały napis "Chłaska powraca", umieszczony na jego czarnej firmowej koszulce, westchnęła z zadowoleniem. W drodze na zaplecze usłyszała, jak postawna puszysta czarnoskóra kobieta w średnim wieku żartuje z klientem.

- Skarbie, zrobią ci protezę i wrócisz nowiutki. Już ja ci to w niebie załatwię. – Afroamerykanka głośno się roześmiała. – Uszy do góry. Dałam ci coś dla osłodzenia życia. – Zachęciła starszego mężczyznę do zajrzenia do papierowej torby.

- Jesteś aniołem, Beth. – Staruszek wyszczerzył zęby i z wdzięcznością pokręcił piegowatą głową z kilkoma kosmykami siwych włosów.

Obserwując rozgrywającą się przed nią scenę, Rebeka znów przystanąła.

- No słowo daję! – Głos dobiegał z boku. – I szef ci za to płaci? – chrząknął rudowłosy, mijając dziewczynę i dyskretnie przesuwał dłoń po jej talii. Rebeka w odpowiedzi zrobiła głupkowatą minę i weszła do niewielkiego pokoju pełniącego funkcję pomieszczenia technicznego.

- Cześć tato – zawołała od progu. – Joel od samego rana próbuje mnie ustawiać – poskarżyła się.

- Najwyraźniej ma powód, panno Lemańska. – Szpakowaty wysoki mężczyzna podszedł do córki i cmoknął ją w policzek. - Nie zamierzam mieszać się w wasze słowne utarczki - dorzucił zgryźliwie. - Ani żadne inne.

- Widzę, że nie stoisz po mojej stronie – oświadczyła z przekąsem. – A ja sądziłam, że rzucisz się w mojej obronie niczym tygrys. W takim razie wkładam fartuch i idę tyrać – dodała cierpiętniczym tonem.

- I to żwawo! - pogroził jej palcem.

- Kiedy przyjdzie wujek?

- Za dwie godziny. Nie licz, że cię wyręczy!

W rzeczywistości Rebeka uwielbiała Joanna's Market. Jej ukochany dziadek, założyciel kawiarni, wyemigrował w latach pięćdziesiątych do Stanów Zjednoczonych i rozkręcił własny biznes w Nowym Jorku. Po upływie trzydziestu lat stwierdził, że pragnie stworzyć coś znacznie więcej niż zwykłą kawiarnię lub sklep serwujący zdrową żywność. Marzył o miejscu sprzyjającym relacjom i nawiązywaniu kontaktów, do którego klienci będą chcieli wracać.

Joanna's Market stał się spełnieniem jego pragnienia. Dziś kawiarnia dostarczała jedzenie do wielu firm w Miami, osiągając najwyższe miejsca w rankingach. Szmuel Lemański odszedł trzy lata temu, pozostawiając w sercu Rebeki ogromną wyrwę. Dziewczyna dokładnie pamiętała dzień, w którym umarł. A ściślej mówiąc, każdą sekundę, minutę i godzinę. Zegar wtedy dramatycznie zwolnił. Jakby cały świat wstrzymał oddech i trwał w

bezruchu, aż do tej chwili. Szmuel dożył sędziwego wieku, ciesząc się każdą chwilą. Często powtarzał, że życie jest zbyt kruche i krótkie na żale, urazy i wzajemne animozje. Mawiał też, że nasze gigantyczne problemy są z perspektywy Stwórcy jedynie nic nie znaczącym pyłkiem. Modlił się: “Boże, zdmuchnij ten pyłek, który pretenduje do wielkiej góry i otwórz nasze oczy, abyśmy mogli zobaczyć Twoją potęgę”.

Rebeka tęskniła za jego śmiechem i mądrością. On to potrafił się śmiać. Są ludzie, którzy przytulają całymi sobą, a dziadek śmiał się całym sobą. Głośno i donośnie. Zupełnie jakby radością pomagał Bogu unicestwiać kłopoty. Posiadał receptę na wszystko, ale nie był z tych, co maltretują ludzi złotymi radami. Potrafił prawdziwie słuchać i dodawać otuchy, jak nikt inny. Kiedy oświadczał: “Zawsze jest jakieś wyjście”, trudno było się z nim nie zgodzić. Jedyne ze swojej rodziny ocalał z obozu po wielomiesięcznym oglądaniu mrozących krew w żyłach widoków i doświadczaniu niewyobrażalnego cierpienia. Zamykał historię swojego życia usta wiecznie marudzących, skutecznie ich zawstydzając. Nie robił tego jednak poprzez umniejszanie bólu innych. Wręcz przeciwnie. Rozumiał i okazywał empatię. Zapytany o wskazówki, zręcznie wplatał je w rozmowę, jednocześnie nie narzucając się nikomu. A kiedy ktoś raz usłyszał o jego przeżyciach i skonfrontował się z pogodą ducha, która wręcz od niego emanowała, stawał się odmienionym człowiekiem. Taka właśnie była siła osobowości Szmuela.

Rebeka stanęła za kasą i zabrała się za obsługiwanie pierwszej osoby. Czekając, aż ekspres zrobi kawę, kątem oka zauważyła GMC sierre podjeżdżającą na parking. Po chwili z czarnego potwora z trudem wygramolił się zgrzybiały staruszek i ruszył żółwym tempem w stronę lokalu. Zaraz za nim człapał młody chłopak, bawiąc się kluczykami, a jednocześnie zachowując czujność na wypadek, gdyby jego dziadek stracił równowagę.

- Czy możesz mnie zastąpić? – zwróciła się Lemańska do Beth, podając klientowi kubek z flat white.

Afroamerykanka zmierzyła przelotnym spojrzeniem wolno posuwającego się mężczyznę, a potem wbiła wzrok we współpracowniczkę.

- Nie – oznajmiła dosadnie i wróciła do pakowania kanapek, nucąc pod nosem piosenkę gospel.

- Cholera jasna – zaklęła cicho dziewczyna. – Co podać? – zapytała uprzejmie, ale z jej tonu biła nieukrywana niechęć.

Mężczyzna oparł się o ladę pomarszczonymi dłońmi.

- Średnie cappuccino i może coś słodkiego? – Niezdarnie wychylił się w bok, chcąc dokonać wyboru pomiędzy muffinkami. W innych okolicznościach widok nieporadnego staruszka pewnie by dziewczynę rozczulił. Teraz z trudem powściągnęła wzbierającą w niej złość.

Odkąd dowiedziała się, że jest Niemcem, natychmiast straciła do niego wszelką sympatię. Przychodził tu od kilku tygodni, zamawiał coś i po prostu siedział, drażniąc ją do granic wytrzymałości. Często spierał się ze swoim wnukiem, ale z ich przepychanek słownych, choć niepozbawionych nuty uszczypliwości, biła wzajemna życzliwość. To drażniło Rebeke jeszcze mocniej, niczym zgrzyt metalu po szkle.

Przy najbliższej okazji czmychnęła na papierosa. Stojąc przed witryną krawca prowadzącego lokal tuż obok Joanna's Market, nerwowo zaciągała się szlugiem.

- Nie wszyscy Niemcy byli SS-manami – odezwała się bezceremonialnie Beth, dołączając do wnuczki Szmuela i rozwijając z folii kanapkę.

- Widziałas, jak pan Szmidt na mnie patrzy? – wyrzuciła z siebie z rozżaleniem Lemańska, śledząc wzrokiem niknącą w powietrzu chmurkę dymu.

- Jak? – Kobieta zatopiła zęby w pieczywie.

- Z pogardą i cholerną niemiecką dumą - prychnęła Rebeka.

- Moja panno, czy ty aby nie przesadzasz? Często jestem w pobliżu, kiedy go obsługujesz, i szczerze mówiąc, nie zauważyłam - celowo podkreśliła dwa ostatnie słowa, głośno mlaskając.

- Bo nie wyłapujesz takich subtelności.

- Ach tak. – Beth przyjrzała się dziewczynie. - Widzę, że ty wyłapujesz wszelkie subtelności. Nawet te, które nie istnieją – parsknęła i popchnęła palcem krążek cebuli, który wysunął się z jej ust.

Rebeka pochyliła głowę.

- Słonko... – Afroamerykanka przysunęła się bliżej. – Masz problem z panem Szmidtem, czy generalnie z Niemcami? – zapytała wymownie.

Beka wzruszyła ramionami.

- Nie wiem – palnęła. – Z nim. Z Niemcami... – Urwała.

- Dziadek przeżył w obozie straszne rzeczy. – Beth zgmiotła w rękę folię. – To nie ulega żadnej wątpliwości. Jednak żył pełną piersią i nie pozwolił, żeby strawiła go nienawiść. Nie znałam bardziej pogodnej i mniej zgorzkniałej osoby niż on. Zrób coś z tym, co wylazło z twojego serca wraz z pojawieniem się staruszka – rzuciła, nie owijając w bawełnę.

- To wcale nie wylazło z mojego serca wraz z jego pojawieniem się - wycodziła Rebeka przez zaciśnięte zęby.

- Nie?

Dziewczyna oparła się o witrynę.

- Przeczytałam mnóstwo książek o holokauście. Byłam w Auschwitz. Próbowałam zrozumieć, dlaczego... - Nabrała powietrza. - Dlaczego coś takiego w ogóle się wydarzyło? Jak mogło dojść do okrucieństwa i bestialstwa na taką skalę?

- Nie zrozumiemy pewnych rzeczy, bo ich po prostu nie da się pojąć. - Beth włożyła ręce do kieszeni służbowego uniformu.

- Myślałam, że... - Dziewczyna się zacięła. - Że złość mi minęła. Jednak najwyraźniej nie. Szmidt napawa mnie obrzydzeniem.

- Beka, to zwyczajny człowiek.

- Może masz rację. Nie potrafię powściągnąć emocji. Dziwne. Dziadek nie zaraził mnie tym bólem. Skąd on się we mnie wziął? Dwa pokolenia później. Czasem czuję, że rozrywa mi serce na kawałki. To absurdalne - mówiła szybko i chaotycznie.

- Kochanie - Beth delikatnie położyła rękę na jej ramieniu. - Najlepszym lekarstwem jest przebaczenie.

- Nie jestem chrześcijanką - mruknęła Beka.

- A kto tu mówi o chrześcijaństwie? - Afroamerykanka obruszyła się. - *Oto Pan! Pan! Bóg miłosierny i łaskawy, nieskory do gniewu, bogaty w łaskę i wierność. Ten, który zachowuje łaskę dla tysięcy, usuwa winę, przestępstwo i grzech.* [2] Księga Wyjścia - zacytowała. - Chyba czytacie Księgę Wyjścia, co? - Jedna z jej brwi powędrowała znacząco do góry. - Zresztą bez względu na to w kogo lub w co wierzysz, przebaczenie jest ci potrzebne jak powietrze.

Dziewczyna nie odezwała się ani słowem, tylko zgasła papierosa.

- Wiesz, istnieje coś takiego jak ból pokoleniowy. - Beth przez moment się namyślała, mrużąc oczy. - Nie doświadczyłaś rzeczywistości obozowej, a mimo to, masz wrażenie, jakby cierpienie dziadka i innych członków rodziny zostało w niewyjaśniony sposób wpompowane w twój krwioobieg lub zapisane w DNA - oznajmiła. - Jeśli przebaczysz, wstrzykniesz w duszę antidotum i poczujesz ulgę.

- Jasne! Prościzna! - wykrztusiła sarkastycznie Rebeka. - Bułka z masłem! Tylko...

- Wcale nie - weszła jej w słowo kobieta. - Zapewniam cię, że wiem o czym mówię. - Pokiwała teatralnie głową i wskazała na kolor swojej skóry.

- No tak - bąknęła wnuczka Szmuela. - Dla was historia też nie była łaskawa.

- Wiesz, co pomaga mi zachować zdrowie psychiczne i każde inne? - zapytała Beth, odgarniając sprężyste włosy z policzków.

- Muffinki czekoladowe? - Kąciki ust Beki uniosły się w lekkim uśmiechu.

- One też. - Kobieta głośno zarechotała.

- A oprócz nich?

Beth rozejrzała się z niemającym uśmiechem.

- Staram się dbać o to, żeby nie chować urazy i puszczać różne komentarze mimo uszu. W mojej linii pokoleniowej również wydarzyło się wiele zła. Zarówno ty jak i ja, spotykamy się z uprzedzeniami. Niektóre są prawie niewyczuwalne, inne przywodzą na myśl uderzenie pięścią w twarz. Jeśli postanowisz magazynować sytuacje i wspomnienia, zaszkodzi to tylko i wyłącznie tobie samej. Będziesz ciągle doszukiwać się odrzucenia tam, gdzie go wcale nie ma. - Kobieta przyciągnęła Reбекę do siebie i przytuliła do piersi, całując w czoło.

- Ale jak mam przebaczyć, skoro na samą myśl o Niemcach, szlag mnie trafia? - zapytała dziewczyna wysuwając się z jej objęć.

- Bóg już jakoś zorganizuje okoliczności - oświadczyła Beth, puszcżając do dziewczyny oko i zbierając się do odejścia. - Ze mną sobie poradził, to i tobie podoba.

- Nie wątpię - burknęła pod nosem Lemańska.

Wróciła po chwili do środka, ale nie powędrowała za ladę. Weszła na zaplecze i stwierdzając z ulgą, że nikogo tam nie ma, usiadła przy biurku. Długo nie nacieszyła się samotnością. W drzwiach pojawiła się ruda kręcona czupryna.

- Pan Szmidt? - Chłopak obrócił ją ku sobie na obrotowym krześle. Zajrzał z troską w brązowe oczy dziewczyny. Kiwnęła tylko nieznacznie głową i zacisnęła wargi.

- Chodźmy dzisiaj na plażę - zaproponował. - I żadnych wymówek. Ostatnio ciągle się mijamy. Tęsknię za tobą. - Pochylił się, żeby ją

pocałować. - Wracam do roboty. A ty chyba chcesz jeszcze chwilę tu posiedzieć, co? - Wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Byli razem od roku i Rebeka naprawdę go lubiła. Dwa miesiące wcześniej postanowili wspólnie zamieszkać. Nie spali ze sobą, chociaż pewnie nikt w to nie wierzył. Dziewczyna nie chciała oddawać swojego ciała, nie mając pewności, że czeka ich wspólna przyszłość. Kiedyś to zrobiła i bardzo żałowała. Tym razem nie zamierzała dać się ponieść naiwności. Joel przyjął twarde warunki bez mrugnięcia okiem, co musiała przyznać, że jej zaimponowało. Był bystry i miał świetne poczucie humoru. Dbał o nią bez robienia wokół tego wielkiego szumu. Potrafił w naturalny sposób nawiązywać kontakty z ludźmi, ale nie stawiał siebie w centrum zainteresowania. Raczej słuchał innych i pozwalał im błyszczeć. No i nosił takie samo imię, jak brat dziadka Rebeki. Dzięki temu dziewczyna czuła się dziwnie bliżej Szmuela.

Tego dnia odłożyła na bok naukę oraz zaniedbane, domagające się uwagi od co najmniej kilku tygodni domowe obowiązki, i wybrała się z Joelem na plażę. Odpoczęła i odprężyła się, dochodząc do oczywistego według jej chłopaka wniosku, że już dawno powinni byli wyrwać się nad ocean. Poczowała się tak dobrze, że niemal zupełnie zapomniała o panu Szmiedt i rozmowie z Beth. Siedziała na kocu, obserwując wygłupy Joela, stojącego w wodzie na rękach. Uśmiechała się do siebie, ciesząc się słońcem i pokrzykiwaniem mew, dopóki nie usłyszała znajomych dźwięków, dobiegających z prawej strony.

- Gibt es hier einen guten Platz?

- Fantastische.

Ujrzawszy mężczyznę i kobietę rozkładających jaskrawo czerwony materac na piasku tuż obok niej, natychmiast zrzęda jej mina i nastrój gwałtownie runął w dół. Jeśli to miała być zaaranżowana przez Boga okoliczność, o jakiej wspomniała Beth, Stwórca niezbyt się wykazał.

- Zrobiłaś się milcząca - zagadał ją Joel, kiedy wrócili do domu. Wynajmowali parter w niewielkim domu. Nic specjalnego, ale przynajmniej mieli kawałek ogródka, gdzie uwielbiali pić poranną kawę.

- Powiedz mi coś, tylko szczerze - Rebeka otworzyła lodówkę i wyjęła zimne piwo.

- Szczerłość to moje drugie imię. Wiesz, że nie umiem ściemniać. - Chłopak wyciągnął rękę po świeżo otwartą butelkę.

- Czy ja przesadzam?

- O, z wieloma rzeczami. - Przybrał zafrasowany wyraz twarzy, ale w kącikach jego ust czaił się uśmiech.

- Pytam poważnie.

- Jestem śmiertelnie poważny - przełknął łyk piwa. - Przesadzasz z ilością czasu poświęconego nauce. - Joel odstawił butelkę i objął ją w pól. - Przesadzasz, kiedy prasujesz nawet skarpetki - dorzucił, wtulając się w jej szyję. - Przesadzasz z używaniem tego ohydneho zdrowego sojowego mleka do kawy. Przesadzasz...

- Czy przesadzam w związku z panem Szmidtem? - weszła mu w słowo, odsuwając się i ucinając niekończącą się wyliczankę. Zabawną, ale nie miała teraz najmniejszej ochoty na żarty.

Powietrze w oka mgnieniu stało się nagle naelektryzowane.

- Wydaje mi się, że nie jesteś obiektywna w odbiorze jego zachowania - zawahał się i bąknął cicho, jakby obawiał się jej reakcji. Przerabiali temat już kilka razy i dotychczas nie prowadziło to do niczego dobrego.

- Beth też tak twierdzi - odparła w miarę spokojnie. Nie podniosła głosu i nie wybuchnęła płaczem, tak jak wcześniej.

- Więc może coś w tym jest - ostrożnie zasugerował. Ton jego głosu zdradzał ewidentne poddenerwowanie. Nadal badał teren, spodziewając się nieoczekiwanej eksplozji.

Rebeka głęboko westchnęła.

- Położę się dziś wcześniej. Muszę przemyśleć kilka rzeczy - oświadczyła, po czym zamknęła się w sypialni. Pół godziny później wyłoniła się z niej tylko po to, żeby wziąć prysznic, a następnie zniknęła w swoim pokoju na dobre.

- Nie jesteś głodna?! - krzyknął Joel, zalegając na sofie w salonie połączonym z aneksem kuchennym.

- Nie! Jeśli chcesz, zjedz sam!

- Zjedz sam - mruknął pod nosem. - Nie chcę jeść sam.

Rebeka wsunęła się do łóżka i naciągnęła cienką kołdrę aż po sam nos. Znowu poczuła ukłucie cierpienia. Zupełnie jakby dotykał ją ból kogoś innego. Rodzina Joela też pochodziła z Europy, ale udało im się w porę wyjechać do Stanów, zanim zaczął się koszmar Żydów. Co on w ogóle mógł o tym wszystkim wiedzieć? Leżała w bezruchu dopóki nie zapadł zupełny zmrok. Odwracając się na bok, zamknęła oczy. Przesunęła dłonią po włosach, chcąc strzepnąć niepokojące myśli. Mocniej otuliła się kołdrą i prawie natychmiast zasnęła.

W środku nocy obudził ją własny szloch. Usiadła wyprostowana na łóżku i oddychając ciężko, zaczęła gorączkowo ocierać łzy z policzków. W tym momencie drzwi otworzyły się z rozmachem.

- Beka? Dobrze się czujesz? Usłyszałem płacz.

Dziewczyna podkuliła kolana pod brodę, obejmując je rękoma. Joel wślizgnął się do łóżka, siadając tuż za nią. Zapalił nocną lampkę, której zbyt intensywne światło oślepiło ich oboje.

- Cholera jasna - zmełł między zębami przekleństwo, mrużąc oczy. - Znowu zapomniałem o wymianie żarówki.

Wsunął dłoń pod koszulkę Rebeki, gładząc okrężnymi ruchami jej plecy. Robił tak za każdym razem, kiedy chciał ją uspokoić. Zawsze działało. Nie

raz go kusiło, żeby dotknąć piersi dziewczyny. Powstrzymywał się jednak całą siłą woli, co wcale nie było takie proste. Szanował wzajemne ustalenia i nie chciał stracić jej zaufania, ulegając impulsowi pożądania. Zdarzyło im się raz zagalopować. Kompletnie się zatracili i prawie doszłoby do ostateczności, ale Rebeka bardzo wyraźnie zaznaczyła granice i od tej pory skrzętnie ich pilnowała. W sumie Joel nie miał pojęcia, w jaki sposób udało im się wycofać, skoro zabrnęli bardzo daleko. Fakt był jednak taki, że już nigdy więcej podobna sytuacja się nie powtórzyła.

- Opowiesz mi co się stało? Coś ci się przyśniło?

Uporczywie milczała. Chłopak pieścił jej gładką skórę, czekając cierpliwie na odpowiedź. W końcu sięgnęła po pudełko chusteczek stojące na stoliku i głośno wydmuchała nos.

- Wiesz, że nic nigdy mi się nie śni, prawda?

- No - mruknął, pocierając zaspane oczy.

- Chyba że same bzdury.

- No - powtórzył, ścigając rękę z jej pleców.

- Ten sen był inny.

Joel odgarnął długie włosy Beki i pocałował ją w szyję.

- Czyli jaki? - zapytał, opierając podbródek o ramię dziewczyny.

- Śni mi się, że jestem w muzeum lub w galerii. Nie wiem dokładnie. Stoję przed czarno - białym zdjęciem. Niemiec celuje z pistoletu do Żydówki trzymającej na rękach niemowlę. Takie samo zdjęcie wisi w Jad Waszem. Pojawia się obok mnie jakiś mężczyzna. Nie mogę mu się przyjrzeć, bo albo odwraca twarz, albo w jej miejscu widzę rozmazaną plamę. - Lemańska pociągnęła nosem. - Nagle facet zbliża się do zdjęcia, a właściwie podchodzi tak blisko, że niemal dotyka go nosem, i przenika do środka, rozumiesz?

- Aha.

- Wtedy ja też jestem już wewnątrz sceny ze zdjęcia. Tuż przy kobiecie. - wyrzuciła. - Czuję na własnej skórze jej strach. Rozpacz. Bezsilność. Miłość do dziecka. Niemowlę cicho kwili, a ona kurczowo przyciska je do piersi. Mężczyzna nachyla się do ucha Żydówki. Z jego ust płyną jakieś słowa. Początkowo ich nie rozumiem, ale z czasem robią się coraz wyraźniejsze. Mówi: "Za chwilę Niemiec pociągnie za spust. Wiem, że jesteś przerażona. Potraktuje cię okrutnie, ale przebacz mu. Bądź wolna od nienawiści". Boże, ja to wszystko czułam! - wyrzuciła z siebie. - Chciałam, żeby przeklęła Niemca! Pragnęłam wykrzyknąć, że jego czyn jest niewybaczalny, ale głos po prostu ugrzązł mi w gardle! - Ramiona dziewczyny zaczęły drżeć. - W mgnieniu oka znaleźliśmy się przy żołnierzu - z trudnem mówiła dalej. - Mężczyzna nachyla się do jego ucha i szepcze: " Za chwilę pociągniesz za spust, zabijając kobietę i dziecko. Wiedz, że ona ci wybacza. Kiedy najgorszy mrok spowije twoje serce, przypomnisz sobie o tych słowach". - Lemańska gwałtownie odwróciła się do Joela. Ich wargi niemal się ze sobą stykały.

- Użył dokładnie tych słów?

- Mniej więcej. W blado niebieskich oczach Niemca wezbrały łzy - wydusiła z siebie niemal bezdźwięcznie - i jedna z nich potoczyła się po jego policzku - dodała. - Przypominała kryształową kropelkę... - urwała, zaciskając powieki.

Joel potarł nerwowo czoło, nie mając pojęcia, co powinien teraz powiedzieć lub zrobić. Zamilkł, jakby jego bezradność wymagała przypieczętowania jej chwilą ciszy.

- Kotku - wymamrotał wreszcie. - Dużo myślisz o tej całej sprawie i pewnie...

- To nie był tego typu sen - przerwała mu tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- Okej, w porządku - powiedział ugodowo, biorąc Rebekę w objęcia. - Chciałbym ci jakoś pomóc, ale nie wiem jak - cicho westchnął.

- Wystarczy, że jesteś. - Wtuliła się jeszcze mocniej. - Wygląda na to, że nikt nie załatwi tego za mnie. Sama muszę uporać się z demonami przeszłości najwidoczniej podróżującymi wzdłuż mojej linii pokoleniowej - dorzuciła nieco zgryźliwie. Następnie wysunęła się z uścisku Joela i spojrzała w spokojne zielone oczy, otoczone długimi rzęsami. Jasna cera usiana drobnymi piegami, dodawała mu niesamowitego uroku. Lemańska bez słowa oplótła nogami biodra chłopaka, zanurzając palce w jego rudych włosach.

- Re... - "beko", chciał powiedzieć, ale zatkała mu usta pocałunkiem. Nie przestając go całować, podwinęła swoją koszulkę.

- Poczekaj. - Joel opuścił materiał w dół. - Nie sądzę, że to najlepszy moment. - Buzowały w nim hormony i mógł z łatwością wykorzystać sytuację. Jednak naprawdę zależało mu na dziewczynie.

- Masz rację. Przepraszam. Mąci mi się w głowie. - Rebeka poprawiła T shirt.

- Chcesz, żebym z tobą został?

- Tak.

Joel zgasił lampkę. Położyli się na wznak, gapiąc się w sufit.

- Jak mam przegonić te demony? - zapytała i odchrząknęła.

- Nie wiem. Może wypowiedz na głos, że przebaczasz Niemcom? - zaproponował z niepewnością. - I powtarzaj, dopóki w to nie uwierzysz? - zaintonował wypowiedź niczym pytanie.

- Nie sądzę, że bezmyślna mantra mi pomoże - odparła ze zniechęceniem.

- No to może poproś Boga, żeby ci pomógł - zasugerował ostrożnie, jakby stąpał po kruchym lodzie.

- Bóg ma lepsze rzeczy do roboty od mieszania się w moje życie - parsknęła, odwracając się na bok. - Dobranoc.

Następnego dnia, zgodnie z tradycją, spędziła przerwę przed witryną krawca. Właśnie miała wracać do środka, gdy drzwi otworzyły się na oścież

i z kawiarni wypadł wzburzony chłopak. Rebeka od razu rozpoznała w nim wnuka pana Szmida. Wsiadając do czarnego GMC, odpalił silnik, po czym gwałtownie ruszył. Zdumiona Rebeka odprowadziła go wzrokiem. *Czyżby ich przyjazne przytyki zamieniły się w kłótnię?* - przemknęło dziewczynie przez głowę. Nie mogła powstrzymać złośliwego uśmiechu, który nagle zakwitł na jej ustach.

Kilka sekund później z Joanna's Market wynurzył się pan Szmidt we własnej osobie. Z zaczerwienioną i napiętą od wysiłku twarzą zmierzał w kierunku zaparkowanych aut. Nagle ręka mężczyzny powędrowała na pierś, a usta wykrzywił grymas cierpienia. Oparł się o chevroleta camaro, lecz po chwili jego dłoń ześlizgnęła się i staruszek upadł na ziemię.

Beka ostrożnie się rozejrzała, sprawdzając, czy ktoś jest w pobliżu. Patrząc na bezwładne ciało, ledwo widoczne od strony chodnika, zrobiła trzy kroki do przodu. Dopadła ją ogromna pokusa, aby nie zareagować. Przez pokrętne uczucie radości powoli zaczął się przedzierać głos sumienia i wkrótce wziął górę.

- A niech to! – warknęła, ruszając na pomoc.

- Czyli nie ma pani żadnych zamiarów na rodzinę pana Szmida?

Głos pielęgniarki wyrwał Rebekę z zamyślenia.

- Właściwie nie – odparła zgodnie z prawdą. – Znam jego wnuka z widzenia, ale nie posiadam numeru telefonu. - Powoli wstała z krzesła.

- A to pech. Pan Szmidt nie może sobie przypomnieć kontaktu do wnuka. Proszę się nie martwić. Znajdziemy go. - Kobieta w białym fartuchu szeroko się uśmiechnęła.

- Do widzenia – pożegnała się Lemańska, zmierzając do wyjścia.

- Hans odzyskał przytomność – odezwała się ponownie pracownica szpitala, chociaż stan zdrowia Niemca wcale Beki nie interesował. Co

więcej, nic a nic jej nie obchodził. – Pani szybka reakcja ocaliła mu życie. Może chce się pani z nim zobaczyć?

- Muszę już iść – rzuciła krótko, posyłając pielęgniarce ponure spojrzenie i pragnąc jak najszybciej znaleźć się na zewnątrz.

- Myślę, że na pewno ucieszy go widok przyjaznej twarzy – ciągnęła kobieta, ignorując odpowiedź. – Odwiedzi go pani? – nie odpuszczała.

Dziewczyna wahała się. W końcu, nie wiedząc czemu, kiwnęła głową bez słowa i poszła za pielęgniarzką.

Szmidt uchylił powieki.

- Nie przepadasz za mną, co? – powiedział słabym głosem. – Podejdź bliżej, proszę.

Rebeka ani drgnęła.

- Uratowałem twojego dziadka.

- Co? – wyrwało się z piersi dziewczyny.

- A ty uratowałaś mnie. – Hans westchnął. – Czyż życie nie pisze najdziwniejszych scenariuszy?

- Nie rozumiem, o czym pan do mnie mówi. Cieszę się, że ma pan się lepiej. Pójdę już.

- Wcale się nie cieszysz, ale rozumiem to - oznajmił. - Kilkunastu więźniów prysnęło w las. A my za nimi. Pozwoliłem mu odejść, Rebeko. – Szmidt przełknął ślinę.

- Bredzi pan. - Dziewczyna zrobiła krok w tył, wymierzyła w niego palcem i nabrała tchu.

- Dałem mu swój płaszcz - kontynuował staruszek. - Zapamiętałem numer umieszczony na pasiaku, a potem zapisałem liczby w małym notatniku. Jeden - cztery - zero - pięć - zero - dwa. Zachowałem zeszyt do dziś. –

Mężczyzna zrobił pauzę. – Po wojnie wyemigrowałem do Stanów. Nie sądziłem, że numer się kiedyś przyda.

- Pieprzy pan! - prychnęła podniesionym głosem, czując że kręci jej się w głowie i traci grunt pod nogami. Wiele razy widziała numer wytatuowany na przedramieniu Szmuela. - Nie będę słuchała tych absurdalnych opowieści! - Jednym susem znalazła się przy drzwiach.

- Co dziadek wam powiedział?! - Głos Szmidta zadudnił jej w uszach. - Jak wytłumaczył ucieczkę?

Serce Rebeki waliło niczym oszalałe i miała wrażenie, jakby w ciało wbijało się tysiące igiełek. Wypadła z impetem z sali. Biegnąc przed siebie, rozpaczliwie łapała w pamięci strzępy słów dziadka o ucieczce i płaszczu. Zepchnęła historię w najgłębsze zakamarki świadomości, bo obraz, jaki się z niej wyłaniał, burzył uporządkowaną konstrukcję, którą zdążyła poukładać sobie w głowie.

Wróciła do domu dopiero wtedy, gdy się uspokoiła. Włócząc się po ulicach Miami do późnego popołudnia, czuła, że nieuchronnie zbliża się jakieś katharsis. Nikomu nawet nie pisnęła słowa o rozmowie z Hansem. Ani rodzicom, ani Joelowi, ani Beth. Była wdzięczna, że ubolewając nad wypadkiem pana Szmidta, nie zadawali jej żadnych pytań. Wcale nie miała ochoty wracać do szpitala, tymczasem coś wabiło ją tam niczym magnes.

- Spotkał się pan po wojnie z dziadkiem? – wypaliła kilka dni później, stając w drzwiach sali i nie siląc się na żaden wstęp.

Szmidt wskazał krzesło drżącą ręką. Ustawiając mebel w bezpiecznej odległości od łóżka, dziewczyna usiadła.

- Nie. – Staruszek słabo się uśmiechnął. – Chciałem się tylko przekonać, czy mu się udało.

- A mimo to zjawił się pan w Joanna's Market. Przypadek? Nie wierzę – ostro burknęła.

- Cztery lata temu przeprowadziłem się do rodziny w Miami. – Hans przymknął powieki. – Przyszedłem do kawiarni tylko po to, aby się dowiedzieć, że Szmuel Lemański już nie żyje. Za długo zwlekałem – dodał, otwierając błękitne oczy.

Zapadło dłuższe milczenie.

- Co się stało, kiedy wrócił pan do kolumny z jeńcami? – zapytała Rebeka nieco mniej wrogim tonem, przysuwając się bliżej.

- Chcesz wiedzieć, czy brak płaszcza został zauważony?

Skinęła głową, odgarniając z policzka długie, ciemne włosy.

- W torbie miałem inny płaszcz. Trochę cieńszy, ale dało się wytrzymać. – Staruszek przyjaźnie do niej mrugnął.

Sens słów powoli do niej docierał, przebijając się stopniowo przez skorupę szorstkości.

- Dziękuję – wyszeptała, zachowując kamienny wyraz twarzy.

- Ja też. – Hans wyciągnął rękę naszpikowaną różnymi rurkami i delikatnie dotknął dziewczyny. Nie zaprotestowała ani nie cofnęła dłoni, choć niemal niezauważalnie wzdrygnęła się.

- Dlaczego pomógł pan dziadkowi, narażając własne życie? – zapytała. Łzy zaczęły nieubłaganie cisnąć się do jej oczu, żeby za chwilę popłynąć strużkami po policzkach. Nie miała pewności, czy płacze ze wzruszenia, złości, czy może z zupełnie innego powodu. Jednego była pewna. Mieszanka skrajnych emocji za chwilę ją rozsadzi.

- Może spodziewasz się heroicznej opowieści, ale ratując twojego dziadka, ocaliłem tak naprawdę siebie. – Szmidt poprawił poduszkę. – Z każdej strony otaczały mnie cierpienie i śmierć. Zadawałem ją. Patrzyłem na nią. Oddychałem nią. Zmagałem się wówczas z czymś, co dziś pewnie by zdiagnozowano jako stany depresyjne. – Mężczyzna zawiesił głos. – Miałem dość maskowania przed kolegami oraz przełożonymi tego, co się we mnie działo. Tamtego dnia postanowiłem ze sobą skończyć. -

Dziewczyna otworzyła usta ze zdziwienia, wpatrując się w Hansa z przenikliwością. - Przemieściłem się na koniec kolumny - kontynuował. - Ukryłem w kieszeni płaszcza pistolet i czekałem na odpowiedni moment. - Oczy staruszka zaszkliły się od łez. - Nagle więźniowie zaczęli uciekać. Ruszyłem za nimi, ale wcale nie zamierzałem ich ścigać. Schowałem się za świerkiem i właśnie miałem strzelić sobie w łeb, kiedy zobaczyłem Szmuela - mówił dalej. - Patrzyłem, z jaką determinacją walczy o życie. Pada i powstaje, zmuszając się do wysiłku przekraczającego ludzkie możliwości. Ciężko to wyjaśnić, lecz w mojej znękanej duszy coś wtedy drgnęło. Jakbym w odmętach czarnej toni niespodziewanie ujrzał błysk nadziei.

Rebeka nabrała powietrze nosem, odginając głowę.

- Wiem, że mnie nienawidzisz. Widziałem jaką odrazę w tobie wywołuję - powiedział tak cicho, że Beka prawie go nie usłyszała. - Wcale nie oczekuję, że będziesz mnie kochać. Pragnę tylko... - zawiesił głos. - Żebyś wiedziała, że żałuję. Naprawdę żałuję. To skomplikowane - Hans nieporadnie otarł policzek. - My też byliśmy ofiarami systemu. Tej parszywej maszyny hitlerowskiego totalitaryzmu. Rebeko?

Lemańska wbiła w niego spojrzenie.

- Czuję radość, wręcz euforię, kiedy patrzę na twoją rodzinę. Jesteś piękną kobietą...

- I zaraz mi pan powie, że żyję dzięki panu i powinnam być wdzięczna? - weszła mu w słowo.

- Nie. To ja żyję dzięki tobie. - Jego zgarbiona postać wydawała się nikać na szpitalnym łóżku.

- Muszę już iść - oświadczyła dziewczyna, podnosząc się z krzesła. - O co pokłócił się pan z wnukiem? - rzuciła.

- O bzdurę. Mam niewyparzoną gębę.

- Dla mnie to wszystko też jest skomplikowane - zmieniła nagle temat. - Proszę nie oczekiwać ode mnie niewiadomo czego. Przyjdę jutro - dodała pośpiesznie, zanim Hans zdołał cokolwiek odpowiedzieć. - Jednak niech pan sobie niczego nie obiecuje - podkreśliła ostatnie słowo, dobrze wiedząc, że pierwsza kostka domino padła i nic już nie powstrzyma lawiny zmian, które niechybnie nastąpią.

[1] Księga Izajasza 1:18, Pismo Święte Starego i Nowego Przymierza, Ewangeliczny Instytut Biblijny, Poznań 2016

[2] Księga Wyjścia 34:6-7, Pismo Święte Starego i Nowego Przymierza, Ewangeliczny Instytut Biblijny, Poznań 2016

 Licencja Creative Commons

PŁASZCZ by [M.M.Macko](#) is licensed under a [Creative Commons Uznanie autorstwa - Użycie niekomercyjne - Bez utworów zależnych 4.0 Międzynarodowe License](#).